

LUDZIE TEATRU W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Czterdziesta rocznica Powstania Warszawskiego skłoniła nas do przypomnienia, że w walkach brali udział także ludzie teatru. O podzielenie się wspomnieniami z tamtych tragicznych dni poprosiliśmy: **Stanisława Bielińskiego, Henryka Bieniewskiego, Małgorzatę Damięką-Lorentowicz, Barbarę Fijewską, Andrzeja Łapickiego, Danutę Mancewicz, Andrzeja Sadowskiego i Helenę Zelwerowicz-Orchoń.**

STANISŁAW BIELIŃSKI

W czasie okupacji przebywałem w Krakowie. Początkowo nie miałem kontaktów z konspiracją. Ale moja pierwsza żona należała do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. W naszym mieszkaniu był punkt konspiracyjny tej organizacji. Ukrywali się różni ludzie, m.in. Romek Szydłowski, z którym na wiele lat się zaprzyjaźniłem. Również zatrzymywali się u nas Żydzi uciekający z getta. Ja w tym czasie pracowałem jako szofer. Miałem całonocną przepustkę, więc wykorzystywano mnie jako łącznika. Nie byłem bardziej wciągany do organizacji z obawy przed wyspą. W listopadzie 1943 roku w tajemniczych okolicznościach zamordowano moją żonę. Być może padła ofiarą porachunków z PPR. Zostałem aresztowany przez niemiecką policję kryminalną. Zwolnili mnie jednak na pogrzeb żony, co oczywiście wykorzystałem i uciekłem do Warszawy.

Pierwszego dnia Powstania znalazłem się na Placu Trzech Krzyży. Usłyszałem strzelaninę i pobiegłem Książęcą w dół. Zgłosiłem się do pierwszego punktu powstańczego na Okrag. Pierwszym moim dowódcą był porucznik "Siekiera", a potem "Kryska". Gdy połączyliśmy się z batalionem Parasol dowództwo objął "Radosław". Wykonywaliśmy różne zadania specjalne. Kiedyś, pamiętam, prowadziłem "Kryskę" Książęcą na górę do "Montera". Szliśmy przez różne podwórka, gdzie przy kapliczkach kobiety modliły się, niektóre nas przeklinały: "Coście z nami zrobili?"

Uczestniczyłem też w poważnej akcji na Rozbrat, gdzie zdobywaliśmy budynek Szkoły Dziennikarza. Okazało się, że Niemcy trzymali tam mundury dla Afryka Corps. Po jakimś czasie, nie wiem. No, ale myśliłem w te mundury poubierali i zadawaliśmy powstańczego szyku...

Podczas wojny w ogóle nie myślałem o aktorstwie. Ale w czasie powstania miałem swój publiczny debiut artystyczny. Jego okoliczności były bardzo smutne. Pierwszy pogrzeb powstańców na Czerniakowie, przy Wilanowskiej, odbywał się jeszcze z całym ceremoniałem. Był ksiądz, msza. Ja zaśpiewałem tam pieśń Schuberta *Ave Maria*. Nauczyłem się jej w szkole u pijarów. Miałem dobrze postawiony głos, tenor. Akompaniował mi na fortepianie, znalezionym w jednym z mieszkań, porucznik Ochalski. Świetny chłopak. W tekście pieśni są takie słowa: "O Mario, ratuj dzieci swe". Chyba już nigdy tak prawdziwie tego tekstu nie odśpiewałem. Może również żadnej kwestii aktorskiej później nie wykonałem z takim uczuciem. Po wojnie spotykałem przypadkowo, nieznanymi mi ludzi, którzy byli na tym pogrzebie i pamiętali mój śpiew...

Zakończyłem powstanie 20 IX na Wilanowskiej 5. Mieliśmy uciekać kanałami na Mokotów. Ale przy włączach stanęło dwóch żołnierzy z oddziału "Radosława" z bronią i nas od "Kryski" nie wpuszczali. Dostałem się na brzeg Wisły. Koło mnie kogoś trafiono. Podszedłem do rannego. Okazało się, że był to berlingowiec. Powiedział: "Ze mną już koniec. Powiedźcie kolegom na tamtym brzegu, że sierżant Szpak zginął za ojczyznę". Wyprężył się i na moich rękach zmarł. Do ludzi kryjących się na brzegu przypłynął ponton z żołnierzem. Wszyscy do niego się rzucili. Ktoś wydał rozkaz, że popłyną tylko ranni. Ale i tak napchało się dużo osób. Żołnierz sam nie dał rady wiosłować. Zgłosiłem się do pomocy. Na środku Wisły nadleciała świeca oświetlająca rzekę. Swoją drogą to był piękny widok. Zatrzymaliśmy i wstrzymaliśmy oddech. Niemcy jednak nas nie zauważyli. Szczerze mówiąc dotarliśmy na drugi brzeg.

HENRYK BIENIEWSKI

Jak się znalazłem w Powstaniu? Podobnie jak większość jego uczestników - poprzez konspirację, w której działałem z przerwami od 1941 roku. Nie było czasu ani na refleksję nad sytuacją militarną, ani na dłuższy odpoczynek, ani

na artystyczny relaks. Dochodziły nas tylko słuchy, że w podziemiach Poczty Głównej odbywają się czasem występy aktorskie, że raz i drugi śpiewał tam Fogg. Myśmy docierali do tych podziemi tylko wtedy, gdy trzeba było odtransportować ciężko rannego kolegę do ułokowanego pod pocztą szpitala. W apogeum sukcesów militarnych wierzyliśmy niezłomnie w zwycięstwo. Najmniej liczono na pomoc z Zachodu, największe nadzieje wiążąc z odgłosami walk dochodzących z Pragi. Zresztą cały wachlarz gazet od prawa do lewa ugruntowywał to przekonanie: pomoc nadejdzie ze Wschodu. Ale radość z osiągniętych sukcesów nie trwała długo. Niebawem Niemcy na wszystkich odcinkach rozpoczęli kontrataki. Na naszym - wysadzili przednią ścianę kościoła św. Krzyża, którego broniliśmy zaciekle, wyparli nas z jego wnętrza tak, że musieliśmy ostatnią linię obrony osadzić w ruinach bombardowanej w dzień i w nocy tzw. proboszczówki. Stąd co jakiś czas atakowaliśmy przeciwnika w kościele, tu także chroniliśmy się przeciwko jego nawale ogniowej. I pozostalibyśmy pewnie pod gruzami na zawsze, gdyby nie łączniczka z dowództwa, która sobie tylko znanym przejściem w ostatniej chwili wyprowadziła nas, niedobitki, na ulicę Chmielną, z dala od linii frontu.

W ciągu kilku dni zebraliśmy na Wilczej rozproszonych kolegów, wszystkich dobrze uzbrojonych, i po naradzie postanowiliśmy samowolnie wyostać się ze Śródmieścia (które, jak wieść niesła, miało być poddane) i przejść na Czerniaków, gdzie toczyły się zaciekle walki. Tak to w pierwszych dniach września dużym oddziałem zameldowaliśmy się w kwaterze "Radosława". To on nas rzucił do formowania przyczółka nad Wisłą dla lądowania żołnierzy I Armii. Trudno opisać euforię powitań z dobrze uzbrojonymi oddziałami "berlingowców". Byli to przecież Polacy, którzy nie bacząc na nic spieszyli nam z pomocą. No i te ckm-y, te rusznice przeciwpancerne, te działka! Ale rzeczywistość okazała się o wiele bardziej okrutna. Młoda armia była wyposażona w broń, która psuła się co chwila, niedoświadczona w walkach ulicznych oddziały nie chcą podporządkować się powstańczemu dowództwu ponosiły ogromne straty. Już więcej przewożono przez Wisłę rannych niż przybywało pomocy, już całe Wybrzeże zasłane było poległymi. Niejednokrotnie po latach zapytywano mnie, co myśleli żołnierze powstania w dniach nadciągającej nieuchronnie klęski? Muszę powiedzieć, że w czasie najcięższych walk w kościele św. Krzyża czy na Czerniakowie nigdy nie traciłmy ducha. Nie ważne, czy był przed nami zwycięstwo, czy klęska, czy ginął jeden kolega, czy kilku, zawsze stawaliśmy się z determinacją naprzeciwko Niemców.

Tymczasem teren zajęty przez nas na Czerniakowie kurczył się z dnia na dzień. Już był to tylko kwartał kamienic, już zaledwie jedna z podwórzem, aż wreszcie zostaliśmy zepchnięci do drewnianego domu na Solcu 41. Tu broniliśmy się aż do 23 września, kiedy już nie mogło nam pomóc ani radzieckie lotnictwo, ani polska artyleria otaczająca nasz domek ogniem zaporowym. I kiedy stało się jasne, że nie utrzymamy naszej reduty, przyszedł rozkaz, by każdy ratował się na własną rękę.

Tak więc w ciepłą noc wrześniową grupą chłopców i dziewcząt schroniliśmy się w na wpół zatopionym statku spacerowym "Bajka". Ktoś jeszcze palił ostatniego papierosa, ktoś wszedł na pokład, by po raz ostatni spojrzeć na płonące miasto. I wtedy, o zgrozo, z łoskotem stoczyła się po stalowym pokładzie blaszana rura od piecyka. Niemcy natychmiast otworzyli na statek ogień, a my skoczyliśmy do Wisły prac ze wszystkich sił na Saską Kępę. Wycieńczeni płyniliśmy pod gęstym ostrzałem. Za Wałem Miedzeszyńskim witali nas serdecznie polscy żołnierze. Potem zostaliśmy zapakowani "dla pewności" do aresztu na Skaryszewskiej, z którego wydostaliśmy się dzięki interwencji u polskiego generała. Kiedy wróciliśmy mi przepustkę do cywila, ruszyłem w świat.

Wiecej skomplikowały się potem dalsze moje losy. Była i Szkoła Lotnicza

w Zamościu, i ukrywanie się pod obcym nazwiskiem, i odsiadka w więzieniu kontrwywiadu, przez wiele lat znośm najróżnorodniejsze szykany jako AK-owiec. Ale bardzo szybko doszedłem do wniosku, że trzeba realistycznie zaplanować swoje życie. Bowiem to, co przede wszystkim wyniosłem z powstania, to była dojrzałość w patrzeniu na otaczający mnie świat. Z młodzieńca przeistoczyłem się w mężczyznę, który postanowił zdobyć wykształcenie i zawód.

Stąd polonistyka w Poznaniu. Tu głównie profesor Szwejkowski nakłaniał nas do specjalizacji w dziedzinie teatru, co zaowocowało karierą takich nazwisk, jak Zbyszek Raszewski, Jarosław Maciejewski, Krysta Skuszanka, Hanna Hannowa czy Krystyna Kolińska. Nie mówiąc o mej osobistej przyjaźni z Wilamem Horzycą i Stulkiem Hebanowskim.

Zadzierzgnięte w Powstaniu przyjaźnie przetrwały najcięższe powojenne lata. Razem odsiadaliśmy w więzieniu, razem wyjeżdżaliśmy na studenckie wakacje. Wiadomo było, że jesteśmy obserwowani, że nasze spotkania na 1 sierpnia były skrupulatnie odnotowywane, ale nie mogło to rozluźnić koleżeńskich więzów. Coraz częściej do grona powstańczego dołączały nasze dzieci wysłuchując wspomnień "wujków" i "cioci". Wspomnień zawsze zaprawionych humorem. Choć militarnie przegrani, nie było w nas nigdy cienia matryrologii. Nawet w czasie uroczystości zaduszkowych.

MAŁGORZATA DAMIĘCKA-LORENTOWICZ

Pyta Pani, czy zetknęłam się podczas Powstania z brygadą teatralną Leona Schillera i z koncertami przygotowywanymi dla powstańców. Otóż nie. Na Czerniakowie, gdzie walczyłam w I plutonie XXIV kompanii zgrupowania kapitana Kryski, takich koncertów nie było. Czasami sami sobie śpiewaliśmy *Warszawiankę* lub legionowe pieśni, ale nawet nie te popularne powstańcze, bo do nas nie dotarły. Czerniaków był miejscem zaciętych walk. Biliśmy się już nie o poszczególne domy, ale o piętra, izby i piwnice. W połowie września zajmowaliśmy tylko kilka zrujnowanych posesji przy ulicy Solec do rogu Wilanowskiej, aż w końcu naszą obronę zepchnięto do oficyny domu Solec 53. Po odprawieniu ostatniej łodzi z rannymi, po wycofaniu się oddziałów płk Radosława, czekaliśmy na wejście Niemców. Niemcy weszli switem 23 września. Wyprowadzono nas na plac, gdzie stał już tłum spędzonej ludności cywilnej, rewidowanej i grabionej. Mnie i porucznika Szumskiego postawiono pod murem. Stał już tutaj ksiądz "Rudy" (ks. Józef Stanek, którego proces beatyfikacyjny rozpoczął się kilka lat temu) - miał wzniesione ręce, jakby nas błogosławił. Porucznik Szumski chcąc nas ratować krzyknął, że ma dolary. Wtedy SS-man wygarnął do niego z automatu w brzuch. Dajcie jeszcze jedną kulę - krzyknął i dostał. Pamiętam, że po różnych incydentach i przegrupowaniach ludności cywilnej przyprowadzono inną grupę AK-owców, w niej kilka kobiet. Mężczyzn na miejscu rozstrzelano, dziewczęta zaprowadzono do pobliskiej fabryki farb. Potem, kiedy popędzono nas w Aleję Szucha, zobaczyłam je powieszzone. Ksiądz Stanek również został powieszony na tylnej ścianie domu Solec 51. Mnie SS-owiec oszczędził.

Pozwolił mi dołączyć do ludności cywilnej. Na razie żyłam, ocalili mnie kolega z mojego plutonu, znakomity zresztą strzelec, który zgłosił się na ochotnika do naszego oddziału podając się za spadochroniarza radzieckiego - był w mundurze gestapo. Okazał się szpiegiem. To był człowiek dziwnej moralności, który kolegów ze swego plutonu uważał za towarzyszy broni i ratował, natomiast z tej samej kompanii, ale z innego plutonu - stawał pod mur. Mnie ułatwił ucieczkę. Potem przeszedł obóz w Pruszkowie, z którego wyostałam się dzięki pomocy jednej z lekarek. Wyzwolenie zastało mnie w Podkowie Leśnej. Kiedy w pobliskim Milanówku, gdzie pracowałam w PCK, ra-

zem z koleżanką z mojego patrolu Marią Karwowską, zaczęto organizować ekipę wyjazdową PCK, matka mojej koleżanki poległej na Czerniakowie poprosiła nas, bym odnalazła jej ciało. Zaangażowałam się do wydziału grobownictwa i w początkach lutego 1945 roku przyjechałam do Warszawy. Na byłych rogach byłych ulic wisiały afisze z hasłami: "Pod sąd skrytobójców z AK i NSZ, pomocników Hitlera". Tak!

Wraz z Maryśką zgłosiłyśmy się na ulicę Piękną do biura pani Jagi Boryty-Nowakowskiej (nie wiedziałam wtedy, że ona była aktorką - ona, że ja nią będę). Warszawa była cała w gruzach, bez światła, bez wody, pusta i wymarta. Chodziłyśmy codziennie rano uzbrojone w młotek, świeczki i zapalki oraz drewniane tabliczki PCK do przydzielonej nam dzielnicy, aby tam spisywać groby i nie pochowane zwłoki, po podwórkach, piwnicach i pod gruzami zwalonych domów. Nazywano nas w PCK "szperaczami". Dane zebrane przez nas szły do kartoteki działu poszukiwania rodzin. Zaczęłyśmy, naturalnie, od Czerniakowa. Elę Kuleszankę, ps. "Cygan", poznałam po paznokciach i charakterystycznym podkoszulku, jaki miała pod niemieckim mundurem. Wszędzie po piwnicach snuł się mdły zapach zgnilizny i rozkładających się ciał. Tak było wszędzie, gdzie "szperaliśmy" na Czerniakowie, na terenie getta, Starego Miasta, Żoliborza, Bielani i Woli. Potem, na wiosnę, zaczęły się ekshumacje, miastu groziła zaraza. Trzeba było codziennie pokonywać pieszo po dwadzieścia parę kilometrów. Do Warszawy wróciłam, by pogrzebać swoich. Zobaczyłam raz jeszcze śmierć, którą tak dobrze poznałam w czasie powstania, bo na moich rękach w Powstaniu konali najbliżsi koledzy. Teraz, wiosną 1945, zobaczyłam śmierć w stadium rozkładu i w zaduchu. Powinłam czuć wstręt - nie czułam. Potem pracowałam w kartotece działu poszukiwania rodzin. Codziennie komunikowałam żonom, matkom, córkom - "pani mąż nie żyje", "pani ojciec nie żyje", "pani syn nie żyje", "nie żyje", "nie żyje", "nie żyje". Kiedyś zapytano mnie - "czego najwięcej się lękam?". Odpowiedziałam "uczucia strachu". Wiedziałam, że powinienam zacząć się uczyć, wybrać sobie jakiś zawód, próbowałam studiować w Akademii Nauk Politycznych, na historii sztuki, nie dostałam się na stomatologię. Często wtedy chodziłam do teatru, na Zamoyskiego, sama, w mróz, przez most wysokowodny. Siedziałam w palcie, bo sala była nie opalana - urzeczona. Teatr, tak to było jedyne miejsce, gdzie myślałam, że będę mogła wykrzyczeć wszystko, co było wtedy we mnie - rozpacz, zawód, strach i śmierć. Nie wykrzyczałam. Zostałam aktorką komediową.

BARBARA FIJEWSKA

Wiosną 1939 roku zdałam maturę i chciałam kształcić się dalej, w szkole teatralnej. Wybuch wojny zniszczył te plany. Nagle stałam się dorosłą, musiałam zarabiać na życie. Proponowano mi występy w "Adrii", lokalu wówczas "nur für Deutsche" za 75 zł wieczór, bo miałam dyplom szkoły tańca scenicznego Tacyanny Wysokiej. Odmówiłam. Musiałam jednak szybko zdobyć papiery. Pracowałam więc w fabryce kabli w Ożarowie, od szóstej rano do szóstej wieczorem przez dwa lata. Wstawałam o trzeciej rano, żeby dojść na dworzec, dojechać i dojść jeszcze półtora kilometra do fabryki. Wynagrodzenie - 24 złotych tygodniowo. W domu było nas dziesięć - czterech braci i sześć sióstr. Każdy miał kolegów, przyjaciół i wielu z nich pracowało w konspiracji, tak że i nas do tej roboty wciągnęli. Nie kończyłam jednak żadnych wojskowych tajnych kursów, tajny "kurs" mieliśmy praktycznie w domu, kiedy np. mój najmłodszy brat Zbigniew szedł do jakiejś akcji, to wszyscyśmy nie spali. Zbigniew należał do Szarych Szeregów, potem do "Parasola". Mój starszy brat Tadeusz występował w czołówce teatralnej, a podczas powstania m.in. w żołnierskich szpitalach. Ja z kolei roznosiłam podziemne gazetki, bo moja siostra była w kolportażu. Ale i ojciec gazetki roznosił. Nie kończyło się zresztą na tym. Przenosiliśmy meldunki, ostrzegaliśmy ludzi przed wpadką. W przededniu wybuchu Powstania - to był poniedziałek - mieliśmy za zadanie, cztery dziewczyny, przenieść "filipiny", czyli granaty domowego wyrobu, z Grochowa na Żelazną. Niemcy poobstawiali mosty, w mieście było już niespokojnie. Nasi kochani koledzy konspiratorzy nieźle nas, jak się potem okazało, urządzili. Kazali nam się ubrać wyzywająco, tak, żeby odwrócić uwagę od przenoszonego ładunku. Poszłyśmy więc, panienczki, na akcję wymalowane, wyfio-kowane i na wysokich obcasach. Zapakowano nam granaty w szary gruby papier, po trzy w paczce. Każda niosła po dwie paczki, 3 kg pod jedną pachą i trzy pod drugą. Kiedy jechałyśmy, jedna pani do drugiej powiedziała oburzona: "proszę spojrzeć na to dziewczynisko, jak ona wygląda, jaka wymalowana, nic ją nie obchodzi, co się wokół nas dzieje". "Boże - pomyślałam - żebyś ty wiedziała, co ja trzymam pod pachami." Powiedziano nam wcześniej, że będziemy ubezpieczone. Owszem, szli za nami dwaj chłopcy. Tyle że mieli pistolety bez amunicji. Taką to była konspiracja. Pierwszy dzień powstania. Przyszli zawiadomić mego brata, by zgłosił się na zbiórkę o 15 w szkole na Karowej. Brat był u swojej dziewczyny na Solcu. Pobiegłam po niego, ale wrócić do domu na Topiel nie mogłam. Przed szpitalem na Solcu stało już wojsko, nie przepuszczano nikogo. Wyszliśmy dopiero nad ranem, miniliśmy szpital, skręciliśmy w Smulikowskiego i tam



Małgorzata Damińska-Lorentowicz (zdjęcie z 1944 roku)



Barbara Fijewska (pierwsza z lewej) i Danuta Pyc na powstańczej placówce na ulicy Smulikowskiego

zgłosiliśmy się do pierwszego oddziału, do "Krybara", do III zgrupowania "Konrad". Zostałam łączniczką. W początkach września już wycofywaliśmy się przez ogrody św. Kazimierza, Foksal do Śródmieścia. Tam przydzielali nas do różnych placówek. Ja trafiłam na Zgoda 4, ale już nie miałam takiej intensywnej funkcji jak na Powiślu, bo strasznie nas było dużo, do Śródmieścia ściągali oddziały z innych dzielnic. Gotowałam w powstańczej kuchni. Co mi przynoszono, wrzucałam do garnka, nie patrząc czy to kot, czy pies. Do wszystkiego dodawałam cebulę, której worek dostałam od lokatorki, żeby zabić smak...

Pyta Pani, jaki był stosunek ludności cywilnej do powstańców. Mieliśmy w niej pewno oparcie. I muszę po-

wiedzieć, że do dzisiaj odbieram Powstanie jako coś niebywale wzniosłego. Pomagaliśmy sobie, byliśmy jakby jedną rodziną.

Miałam w tym czasie narzeczonego. Mieszkał na Noakowskiego. Któregoś dnia dostałam przepustkę na drugą stronę Alej Jerozolimskich i wyruszyłam do niego o świcie. Droga była bardzo trudna, pod ostrzałem, podkopami, zgubiłam buty, ale dotarłam do celu. Drzwi mieszkania otworzyła matka. "Gdzie Jerzy? - zapytałam. - Siedzi u sąsiadów i gra w brydża." To był dla mnie szok, nie do pojęcia zachowanie. I nigdy już nie zaakceptowałam go na wspólne życie.

Na Zgoda przetrwałam do kapitulacji. Wraz z kolegami przeszłam przez plac Narutowicza do Ożarowa, do tej samej fabryki, w której wcześniej pracowałam. Potem był obóz i ciężkie przeżycia, ale mimo głodu i lęku o najbliższych ratowałyśmy się pracą, wzajemną życzliwością. Między innymi urządziliśmy wieczór Wyspiańskiego. Na próbę tego programu przyszła nie proszona nasza wartownicza, znająca język polski. Niemcy pewnie ją przysłali, żeby skontrolowała, o czym to mówimy. Jak już w czasie trwania przedstawienia jedna z koleżanek mówiła modlitwę Konrada z *Wyzwolenia*, tekst "o Boże, błogosław czyn i rzeszę", cała komenda niemiecka, która stawiała się w komplecie, ku naszemu przerażeniu zaczęła bić gromkie brawa. Tego się biedny Wyspiański doczekał.

Spisała: BOFF

DANUTA MANCEWICZ

Właściwie początek mojego udziału w konspiracji był związany z teatrem. Ludwik Berger - aktor Reduty, reżyser *Kościuszki pod Racławicami* w szkolnym teatrze Reduty (w którym to przedstawieniu stanęłam po raz pierwszy na prawdziwej scenie) - był niejako twórcą przyszłego batalionu Baszta. Do niego skierował mnie kolega. I chociaż pan reżyser wówczas mnie nie "zaangażował", to i tak po dwóch latach spotkaliśmy się w Baszcie. Stamtąd wraz ze "Stasinkiem" (Stanisławem Sosabowskim, synem słynnego generała), moim dowódcą, przeszłam do Kedywu. Dla mnie powstanie rozpoczęło się w Śródmieściu przy Komendzie Głównej, dokąd po zdobyciu Stawek, czyli wielkich magazynów żywnościowych oraz sąsiedniej szkoły SS, mieli przybyć chłopcy z naszego oddziału. Niestety zostali zatrzymani przez ppłk "Radosława" na Woli, a my - sanitariuszki i łączniczki - przyjęłyśmy chrzest bojowy w rejonie ulic Jasna, Pl. Dąbrowskiego, Świętokrzyska. Niemiecy lotnicy zaczęli szaleć nad tym rejonem, bombardując i strzelając z broni pokładowej do ludzi i do okien. W domu obok hotelu "Victoria" został trafiony przez okno prosto w serce lekarz podczas operacji; później w tym samym domu bomba lotnicza wpadła ukosem przez bramę, przebiła strop piwnicy, w której było pełno ludzi.

Wynosiliśmy stamtąd po nalocie zmasakrowanych rannych i kiedy opatrywałam pewną bardzo szczerpłą niewiastę, usłyszałam od niej dość pogodne stwierdzenie, że śmierć nie musi być straszna: "po prostu coś mnie uderzyło w głowę i straciłam przytomność" - i te słowa jako wiatyk wzięłam na dalszą powstańczą wędrówkę nie bojąc się śmierci.

Po latach rozpoznałam w Wandzie Jakubińskiej (Teatr Nowy - Łódź) opatrywaną przeze mnie niewiastę. Opiliśmy wtedy życie nie tylko kawą... Po wojnie także dowiedziałam się, że w gmachu PKO na ulicy Świętokrzyskiej została ciężko ranna studentka podziemnego PIST-u, Zosia Książkówna - od takiej samej bomby, która trafiła przez otwór w windzie i wybuchła w szpitalnym schronie.

6 sierpnia, po usilnych staraniach i ze znajomymi "dezercji" wyszliśmy z przyjaciółką ze Śródmieścia na Wolę. Było po drodze dziwnie pusto. Strzelano do nas, chowałyśmy się za jakimś murkiem na Pl. Kercelego. Przeszłyśmy tę trasę jako ostatnie: po nas nie było już bezpośredniego kontaktu Woli ze Śródmieściem. Kiedy patrzę wstecz i wspominam, to właściwie często się dziwię, że żyję...

Na Woli nie było wesoło. "Stasinek" ciężko ranny, na szczęście został w porę wyprowadzony ze szpitala św. Łazarza, gdzie ranni, których nie miał kto wyprowadzić, zostali razem z personelem szpitala zastrzeleni. Na Okopowej nie było schronów, toteż pamiętam wielki natłok, kiedy chowaliśmy się w rozwalonych bombami grobach na Cmentarzu Żydowskim. Po upadku Woli trzeba było powtórnie zdobywać Stawki - ciężkie natarcie 11 VIII, w którym straciliśmy kolejnego dowódcę i paru najdzielniejszych. Stare Miaśto, Bożeł Szyby w oknach... Woda w kranach. Łaźnia nawet czynna. Kąpaliśmy się! Piekarnie piekły chleb. Krótka tego raju: 13 VIII wybuchł czołg - pułapka przy ul. Kilińskiego. Solidny szpital na rogu Długiej i Kilińskiego nie był w stanie pomieścić rannych. Nasz lekarz, dr Jerzy Kaczyński, ob-

jął nową placówkę: na Podwalu w podziemiu była niewielka knajpka z fortepianem i estradką dla orkiestry, "Pod Krzywą Łatarnią". Zestawione stoliki stanowiły stół operacyjny. Na nim leżała dziewczyna: nagię, piękne młode ciało naszpikowane odłamekami; dziwne otwarte złamanie podudzia. Sterczała kość, chyba zbyt duża jak na gołę 18-latkę? O, Boże! To była cudza kość wbita siłą wybuchu!

Przy dziewczynie Romeo. Tulił twarz do jej ramienia i płakał. Romeo... jeszcze zdrow, jeszcze żywy. Tak było. To nie literatura. Któregoś dnia w szpitalu podeszła do mnie Antonina Kawecka. Znałyśmy się z lekcji śpiewu u prof. Kazury, który uczył również studentów ze studia Iwo Galla (oczywiście tajnego!). Pani Antonina była z mężem. Powstanie zaskoczyło ich na Starym Mieście. Nie mieli nic. Byli głodni. Nie byłam w stanie im pomóc. W końcu wpadłam na pomysł: estrada, fortepian, a na przeciwko mieszkał prof. Sergiusz Nadgryzowski, słynny pianista i akompaniator. Można było urządzić koncert dla rannych za miskę zupy ze szpitalnego kotła. Myślę, że koncert się odbył. Ja nie miałam czasu na kulturę... Kiedy po wojnie usłyszałam w radio mistrzowsko zaśpiewaną *Halę* byłam szczęśliwa, choć nigdy nie miałam jakoś okazji "opić" życia ze znakomitą primadonną Opery Poznańskiej.

Od spotkanej na Starówce przyjaciółki dowiedziałam się, że jej dowódcą znakomitym, dzielnym, dbającym o ludzi w najcięższych walkach w rejonie Rynku jest por. "Szczerba", Zbigniew Blichewicz, aktor z Wilna. Stopniowo, ale szybko Starówka zamieniała się z piekła w gruzowisko.



Danuta Mancewicz i Ryszard Barycz w Łodzi (zdjęcie z 1946 roku)

Szykowało się przebiecie do Śródmieścia, opisane wielokrotnie w powstańczej bibliografii. Moim najsilniejszym wrażeniem (oprócz tych najboleśniej-szych) był widok opustoszałego Kościoła Św. Antoniego: w głównej nawie rozrzucony w nieładzie ludzki dobytek z otwartych walizek, a na samym środku stał sobie złoty pantofelek balowy. Do kogo należał? Do aktorki, czy do śpiewaczki, której się zdawało, że będzie go potrzebowała w dalszej wędrówce w nieznaną? A może był najdroższą pamiątką z pierwszego balu jakiejś Julii czy Tatiany...

Potem było Śródmieście z całymi szybami, potem był Czerniaków także z szybami, potem tęsknota za całymi szybami, odbijającymi słońce na Saskiej Kępie, aż na koniec przepłynięcie Wisły i... szpitala.

"Wspomnienie Zofii Książek-Bregułowej o Powstaniu Warszawskim znaleźć można w: *Z tej ziemi. Śląski Kalendarz Katolicki na rok 1994. Ostatnie hasło - "Pocisk"*, s. 112-119. Sylwetkę aktorki na łamach *Teatru*, w artykule *Pasja* (1979 nr 17), przedstawił Adam Surowiec.

ANDRZEJ ŁAPICKI

Podczas okupacji byłem w BIP-ie, KG AK, należałem do grupy Teatru Żołnierskiego, który prowadził Józef Wyszomirski, porucznik "Albin". Byli tam również: Danuta Szaflarska, Jan Ciecierski, Tadeusz Cygler, Stanisław Jaśkiewicz, Stanisław Bugajski, Tadeusz Fijewski. Zrobiliśmy w tym teatrze trzy programy, z którymi mieliśmy jechać do lasu, do oddziałów partyzanckich. Ale pokazaliśmy je tylko w Warszawie w obecności Delegata Rządu z pełną obstawą. Pierwszy program był rewijowy, dosyć kiepski, na koniec śpiewaliśmy *Warszawiankę*, i to w biały dzień, w szkole na ulicy Zielnej, więc zrobiła się sensacja, tłum wraz z żandarmami zebrał się na ulicy. Potem daliśmy ładny program, i na wyższym artystycznie poziomie, w mieszkaniu pani profesor Janiny Mieczysławskiej. Śpiewałem balladę Lutostawskiego, akompaniował mi profesor Rutkowski, ale pomimo jego wysiłków nie udało mi się trafić we właściwy ton i od tamtej pory nie śpiewam. Trzeci z kolei program składał się z *Pani Twardowskiej*, którą grała niedawno zmarła koleżanka Irena Brzezińska, oraz ze słynnej *Komedii garbusów*. Było to najlepsze nasze przedstawienie i chyba jedno z najlepszych przedstawień tajnego teatru, obok *Pastorałki* Leona Schillera w Henrykowie.

W każdym razie Czesław Miłosz, świadek naoczny, napisał w *Roku myśliwego*

i w innych dziełach, że był to wspaniały teatr. Odbывало się to przedstawienie w mieszkaniu Hani Zielińskiej na ulicy Prokuratorskiej 4, gdzie była radiostacja, podchorążówka oraz tajne komplety PIST-u i Teatr Żołnierski. Mieliśmy też jeden, nieudany, wyjazd do lasów lubartowskich, który został już dokładnie opisany.

1 sierpnia 1944 roku rano widzieliśmy się jeszcze w tej grupie w Ciecierskiego, na Noakowskiego 20, i rozeszliśmy się z niczym. Dopiero później, około godziny 16, zawiadomiono mnie, że bym natychmiast przybiegł na punkt zbiórki. Podjechałem tramwajem, było tuż przed piątą, zaczęła się strzelanina i wpadłem do mieszkania Staszka Bugajskiego w Alei Niepodległości 227. I stamtąd w żaden ludzki sposób nie mogłem już przejść na miejsce zbiórki, taki był ostrzał. Dołączyłem do II batalionu

szturmowego "Odwet", który miał potem przebiegać się do Śródmieścia. W tej dzielnicy (Kolonja Staszka) było w ogóle paskudnie i byliśmy otoczeni, oddziały Ukraińców robiły wypadły z Pola Mokotowskiego i wyrzynały mieszkańców. Tak, w jednej z willi przy Wawelskiej, zginął Mariusz Maszyński, na Langiewicza podpalono naszych chłopców, w bloku na Sędziowskiej wyrznięto mieszkańców. Wszystko to było s t y c h a ć. A my nie mogliśmy temu przeciwdziałać. "Odwet" był bez broni, nie dowieziono jej na czas z magazynów. Czekaliśmy więc na koniec. Przejście do Śródmieścia (skakaliśmy przez Al. Niepodległości w nocy w skarpetkach) udało się większości, ale nie mnie. Szedłem w takiej ariergardzie, zrobił się świt, mieli przejść po nas nazajutrz koledzy, a przyszła - dywizja pancerna "Hermann Goering". Było to 12 sierpnia. Popędzili nas w grupie cywilów na Wawelską, a tam SS wylawiało chłopaków, niedobitków z innych oddziałów, z "Garłucha", z ataku na Stauferkaserne - ze dwudziestu kilku nas było. I wtedy cały mój wysiłek włożyłem w to, żeby nie dać poznać, jak bardzo się boję. Z rękami w kieszeniach przeszedłem na oczach skamieniałego tłumu. SS zaprowadziło mnie na Dantyszka, gdzie leżały stare i nowe trupy powstańców. Kazano mi rozebrać się do kalesonów, co dobrze nie wrożyło, dali łopaty i grzebałami te trupy. Kazali nam też rzucać granaty - filipinki do tych dołów. Byliśmy obryzani od stóp do głów trupią cieczą. A potem, SS-man, śluzak, zaprowadził mnie do kantyny, żebym wziął picie dla kolegów. Na rogu Raszyńskiej siedzieli oficerowie SS w białych letnich mundurach, bardzo elegancy, i pili kolorowe napoje przez słomki. Na mój widok - byłem w gaciach - wybuchnęli radosnym śmiechem. Ale wróciłem do kolegów z wodą mineralną i ćwiartką jarzębiaku. Wodę wypili, ćwiartki nie chcieli. To ja wypilem i poczułem się znacznie lepiej. Zasypaliśmy wreszcie te 3-4 duże doły, zbliżał się wieczór i czekaliśmy, co będzie dalej. SS-mani wystali nas na posterunek ukraiński, do obozu na Zieleniaku. Wyszliśmy z białą chustką przywiązaną do paska, niby cywile, ale posterunku ukraińskiego nie było! Dalej, na Żwirki i Wigury, zatrzymało nas gestapo. Zrewidowali nas, nawymyślali od bandytów i wygłosili mowę - że i tak wygramy wojnę. Po czym wsiadli do samochodu i - co było zaskakujące - odjechali. Ale na rogu Racławickiej rozległ się nagle okrzyk "Stoj!". Dwóch Ukraińców galopowało za nami na koniach, gęsto strzelając. Oni jednak byli jeszcze daleko, do tego pewnie pijani, my byliśmy młodzi - daliśmy "dyla" w pole kartofli, uciekliśmy w kierunku Włoch. Zamelinowaliśmy się u jakiegoś chłopca, a na drugi dzień ruszyliśmy dalej. Złapali nas sześciu czy siedmiu - lotnicy, kiedy przeskakiwaliśmy Aleję Krakowską i zamknęli w obozie na Łopuszańskiej. Wieczorem sfornowali nas w kolumny, mieliśmy iść na stację EKD, a stamtąd jechać do Pruszkowa. Oczywiście za próbę ucieczki groziło rozstrzelanie. Na stacji podszedł do mnie polski konduktor i powiedział, żeby spróbować wsiąść do ostatniego wagonu, ze starymi i chorymi, to może jakoś minie Pruszków i nie wyślą nas do Oświęcimia. Mieliśmy jednak "aniola stróża" z SS, który nas nie odstępował. Z pomocą przyszedł przypadek, nasz stróż pobiegł gdzieś interweniować i wskoczyliśmy do wskazanego wagonu. Schowaliśmy się pod ławkami. Nie tyle baliśmy się Niemców, co tych staruchów, którzy okładali nas łaskami, bo bali się o swoje życie. Potem weszła sztrafa, myśleliśmy, że to koniec, ale nasz konduktor dał im pół litra. Dojechaliśmy do Milanówka i Powstanie się dla mnie skończyło, choć próbowałem jeszcze dostać się m.in. do Kampinosu. A tego konduktora spotkałem w roku 1947, w sleepingu, którym jechaliśmy do Juraty z Jurkiem Duszyńskim. Nazywał się Wiśniewski. Upiiliśmy się z radości. Kiedyś jeszcze przyszedł do mnie do teatru. To był miły człowiek. No, i uratował mi życie.

Spisana: BOFF

ANDRZEJ SADOWSKI

Jeśli ktoś mnie pyta o okupację, to niechętnie mówię o tej stronie mojej młodości, ponieważ mam uczucie, że to w ogóle nie ja i nigdy mnie kombatanctwo nie interesowało. Zawsze miałem coś do załatwienia "do przodu" a nie "do tyłu", i kiśnięcie we wspomnieniach, choćby najbardziej efektywnych, wydawało mi się stratą czasu.

Gdzieś od 1941 roku byłem w konspiracji. Nie wypadało nie być w konspiracji. To było oczywiste. Skończyłem nawet podchorążówkę, w grupie kolegów z Batorego. Najpierw przeszliśmy szkolenie podstawowe piechoty, a potem podchorążówkę. Po czym byłem wspaniałym plutonowym podchorążym i wojowałem w Powstaniu Warszawskim. Pod koniec lipca, na jakiś tydzień przed wybuchem Powstania, była mobilizacja. Zgromadzono nas - pewno całą kompanię, bo było nas tam 50-60 osób - w stodole jednego z czerniakowskich ogrodników gospodarstw. Pamiętam, że całą noc siedzieliśmy i czekaliśmy nie wiadomo na co. Opowiadaliśmy sobie dowcipy, jeden był taki, co dobrze opowiadał, ryczeliśmy ze śmiechu. Rano rozpuszczono nas, rozeszliśmy-

Andrzej Łapicki - zdjęcie z 1945 roku

my się do domów. Czy to była jakaś próba czy nieporozumienie - nie wiem.

W dniu Powstania od rana już wiedzieliśmy, że to jest ten właśnie dzień. Gdzieś w południe dotarłem do swojego oddziału - to była 21 kompania Zgrupowania "Narew" kpt. "Kryski" (Zygmunta Netzera) - zbierającego się na rogu placu Trzech Krzyży i Książęcej, tam stał dom dziś już nieistniejący. Moim dowódcą był por. "Trojan" (Jan Żuchowski). Mieliliśmy za zadanie zdobyć Gimnazjum Królowej Jadwigi i Ymkę. Zaczęła się strzelanina i pamiętam tylko taką sytuację, że musimy się przedostać za wszelką cenę do "Głuchoniemych". Biegliśmy do tych "Głuchoniemych" - i przede mną rozleciała się budka z papierosami, że aż zaswedziały nogi. I to tak się zaczęło: zagotowało się i nagle uciхло jak wpadliśmy do "Głuchoniemych". Tu zaczęło się natychmiast budowanie pozycji. Dostałem karabin, mieliśmy też jeden ckm kopalniarski, stary Maxim. Powiedzieli nam, że musimy przede wszystkim zrobić osłonę w oknach, powybić szyby, ramy i tak dalej. I proszę sobie wyobrazić, że ja wtedy pierwszy raz zorientowałem się co to jest radość niszczenia, coś, co drzemie w każdym i co poparte koniecznością, rozkazem nie napotyka na opór. Nagle zacząłem rozważać i przewracać szafy, żeby zbudować z tego coś w rodzaju barykady. I odczułem, że to strasznie fajne i zdziwienie, że niby jestem kulturalnym człowiekiem, a tak przyjemnie rozważać...

Szczęśliwie zostałem postrelony w pierwszych dniach Powstania i dzięki temu żyję. Z mojej 21 kompanii przeżyło - o ile pamiętam - 14 osób, a było koło 90. Postrzelono mnie podczas ataku na stację pomp rzecznych przy Czerniakowskiej. Dostałem po plecach i zemdlałem; jak się ocknąłem - to cisza wokoło, trupiarnia. Złapałem karabin (miałem wbite w głowę, że karabinu nie wolno zostawić) i uciekłem. Dostałem się do piwnicy jednego z wojskowych domów przy Szwoleżerów i tam zemdlałem, znalazła się jakaś sanitariuszka. Okazało się, że mnie sparaliżowało, bo dostałem odłamkiem pod kręgosłup. I to był koniec mojego Powstania. Przeleżałem w tym domu czas jakiś. Jak przyszli - po 10 dniach, może dwóch tygodniach - wysiedlać domy na Szwoleżerów to już chodziłem. Wysiedlał nas jakiś oddział Wehrmachtu. Na strychu znaleźli moje rzeczy: niemieckie saperki, niemiecki pas i chyba hełm. Wszystkich mężczyzn postawili pod ścianę ceglana magazynku. No i teraz - niech się przyzna ten bandyta, który tu jest... To byli starsi panowie, byli wojskowi, ja jeden byłem taki młody, może jeszcze ze dwu piętnastolatków. Stałem oparty o ścianę i myślę - to nie ma sensu. Mówię do sąsiada po prawej: "ja się przyznam, bo i tak mnie rozwalą i tak rozwalą". A on - "zamknij się". To ja jeszcze, tak dla przyzwoitości, do tego po lewej, a on też mówi - "nie, zamknij się, co będzie, to będzie". Ludzie byli wtedy już tak rozżarci, że było im wszystko jedno. I wie pani, że oficer kierujący wysiedlaniem zgłupiał, ponieważ mu się w głowie nie mieściło, że 20 facetów nie spnie tego jednego, tylko dają się wszyscy zastrzelić. I puścił nas. Wyszedłem z ludnością cywilną, pod Okęcie uciekłem. I potem próbowałem rozpaczliwie, w poczuciu winy, że nie zostałem w Powstaniu dobrać do jakiegoś oddziału partyzanckiego. Taka złość we mnie była, że jak to, ja taki niekoleżeński? Koledzy giną, a ja co - pójdę na wódkę?

Jak dziś na to patrzę? Bez żalów i emocji. Przez całe moje życie to była zamknięta historia, kompletnie, kawałek życia. Powstanie to taki sam kawałek jak każdy inny. Raz poszedłem na mszę w kościółku na Solcu - i powiedziałem sobie: koniec. Te szesnastolatki, które miały już wtedy czterdziestkę, i przez 15 lat mówiły o tym jak to "Wilki" wskoczyły na barykadę, a "Żbik" rzucił granat - to nie dla mnie. Ja żyłem w innym świecie po prostu, byłem w teatrze, skończyłem Akademię, przyjaźniłem się z zupełnie innymi ludźmi.

Myślę, że ja bardzo się cieszę, że byłem w tym Powstaniu i potem w partyzantce przez krótki czas, ale ja jestem "szczęściarz Antoni": w dobrym momencie mnie strzeliło i w dobrym momencie z tego wyszedłem. Wszystko się udało, ale nigdy nie miałem skrzydeł husarskich.

Spisała: Maria Napiontkowa

HELENA ZELWEROWICZ-ORCHONOWA

Wraz z mężem, Józkiem Orchoniem, byliśmy przydzieleni do grupy koncertowej Leona Schillera. Mnie Schiller polecił nauczyć się fragmentu *Zajęca* Adolfa Dygasińskiego, ale nie było potem okazji, bym go powiedział. Myślę zresztą, że nie był to tekst najodpowiedniejszy na tę okoliczność. Schiller potrzebował przede wszystkim śpiewnego, raczej lekkiego repertuaru. Zajęłam się więc czym innym. Początkowo, jako widz i współorganizator, brałam udział w lotnych koncertach w Śródmieściu - urządzaliśmy je tam, gdzie można było zebrać większą grupę ludzi, np. w lokalach kawiarni. Pamiętam taki koncert w PAL-u. Jeden z wykonawców mówił *Grenadę* Tuwima, ale drugi - jakiś



Józef Orchoń z żoną Heleną w Londynie (zdjęcie z początku lat 50-ych)

idiotyczny kawał o kimś, kto usiadł na rozgrzanej fajerce od pieca. Oczywiście, chodziło w tych koncertach o chwilę odprężenia dla ludzi, którzy czekali na akcję lub z niej właśnie wrócili.

Później, kiedy było już bardzo gorąco i nie można było z tymi koncertami chodzić, pracowałam w kuchni wojskowej w prywatnym mieszkaniu bodaj na Wilczej. Tu przetrwałam jako pomywaczka i "zaopatrzeniowiec" do końca Powstania. A kiedy już upadło, stanęliśmy z mężem przed wyborem - albo pójść do niewoli, albo wyjść wraz z ludnością cywilną. W jednym z żołnierskich szpitali pracowała wdowa po prof. Leonie Pomirowskim, u której na Wilczej mieszkaliśmy. Myśmy się nawet z Józkiem zastanawiali, czy ze względu na niego nie byłoby lepiej przyłączyć się do personelu szpitalnego. Byliśmy po poradę u delegata rządu na kraj, który zapewnił nas, że jeniec wojenny jest chroniony przez prawo międzynarodowe. Tak że ostatecznie poszliśmy do niewoli zaliczeni fikcyjnie do jakiegoś pułku.

Ja z grupką kobiet wyszłam z lokalu na Wilczej, z tej jadalni, gdzie zresztą już nic nie było prócz pszenicy gotowanej, a przeważnie tak zwana kasza "pluj", czyli nieluskany owies, który kłut w usta. Wyszłyśmy więc przez plac Narutowicza i poszłyśmy do Ożarowa. Ludność okoliczna była wzruszająco gotowa do pomocy. Mieli cokolwiek do jedzenia, to dawali i proponowali, że ukryją u siebie. Kiedy zapadł zmrok, dużo osób taką ucieczkę zaryzykowało. Ale bardzo ciężki był moment, kiedy przeszliśmy "pod opiekę" niemiecką i maszerował obok nas żołnierz z karabinem. W tym małym oddziale, w którym szłam, było sporo starszych pań, które nie nadążały w marszu. Wszystkie zresztą, po sześćdziesięciu trzech dniach niedojadania i bezustannego strachu, miałyśmy mało sił. Panie miały futra. Niosły pierzyny. I kolejno to wszystko rzucało się podczas drogi. Obok mnie szła starsza pani z ciężką walizką. Ja w rękę nie miałam nic, tylko ze starej sukni zrobiłam sobie plecak, w którym niewiele niosłam. Wzięłam więc tę walizkę, ale była tak ciężka, że z ulgą dałam ją na chłopski wózek, na który zbierano od nas bagaże. I oczywiście, żadna z nas nie zobaczyła potem już swoich rzeczy.

W Ożarowie zatrzymaliśmy się w wielkich starych budynkach, było już pełno ludzi nocujących na słomie. Okoliczna ludność wystawała przy drutach ogrodzenia, brano kartki z wiadomościami. My z Józkiem napisaliśmy ojcu, który był wtedy w Oryszewie koło Sochaczewa, że idziemy do niewoli i mamy jeszcze znać, kiedy będziemy wiedzieć coś więcej. Ale, oczywiście, tego nikt nie wiedział. Po obozie krążyły jakieś fantastyczne wiadomości. Jeden z Niemców powiedział, że idziemy na Śląsk. Ale po dwóch, trzech dniach wysłano nas z mężem jednym transportem, tyle że w innych wagonach. Zamknięte jechaliśmy z przystankami bodaj dwa dni. Wreszcie wysadzano nas na stacji - Lauten, Lahten? I stamtąd poszłyśmy pieszo kilkanaście kilometrów do obozu Sandbostel. Przy bramie obozowej spotkali nas koledzy wrzesniacy z 1939 roku. To było bardzo wzruszające powitanie. I tak się zaczęła moja popowstaniowa tułaczka. Potem, przez Oberlangen, już po wyzwoleni - Lingen, Recanati, trafiłam do Anglii, skąd na stałe przenieśliśmy się do Nowego Jorku.

Spisała: BOFF

Do druku przygotowały: BARBARA OSTERLOFF i ALEKSANDRA REMBOWSKA